Kamil Kranc

"Dwa Trony w Ciemności"

I. Świątynia Wiecznego Brzęku

Nieszpory w Świątyni Wiecznego Brzęku nie przypominały żadnego chrześcijańskiego obrzędu. Śpiewy były zbyt wysokie, zbyt drżące, jakby gardła śpiewaków wibrowały z częstotliwością owadzich skrzydeł. Aldric Winthrop, siedząc w ostatnim rzędzie, czuł na karku zimny powiew od uchylonych drzwi, choć za oknami lipcowy upał spękał chodniki Grimhaven. Powiew niósł zapach zgniłych wodorostów i słodkawego, mdłego aromatu, który zawsze pojawiał się w mieście przed deszczem.

Grimhaven, wciśnięte między strome klify a szary ocean, żyło własnym, osobliwym rytmem. Rybacy wracali z połowów z oczami szklistymi jak martwe ryby. Kobiety na targu sprzedawały owoce morza, których gatunków nie znała żadna księga zoologiczna. A wszyscy, jak na komendę, unikali wzrokiem starego molo, gdzie drewniane pale pokrywała czarna, żywa maź, która nocą przybierała kształty pnących się gałęzi.

Aldric był tu obcy. Przyjechał z Arkham trzy tygodnie temu, szukając śladów swojego pradziadka, kapitana Ezekiela Winthropa, który w latach dwudziestych osiadł w Grimhaven i zniknął w tajemniczych okolicznościach. Już pierwszego dnia zrozumiał, że miasto nie chce pamiętać. Archiwa miejskie były puste. Mieszkańcy odpowiadali pojedynczymi sylabami. Jedynie stary Mordecai, latarnik z Przylądka Cieni, szeptem ostrzegł go przed "tymi z głębi" i "tymi z lasu".

Dziś jednak, podczas nieszporów, Aldric dostrzegł coś, co zamroziło mu krew w żyłach.

W pierwszym rzędzie siedziało rodzeństwo Whitlocków – bliźniaki o twarzach jak z wosku, których oczy wpatrzone w ołtarz świeciły fosforyzującym, zielonkawym blaskiem. Ich skóra, w

miejscach odsłoniętych przez luźne suknie, miała delikatną, perłową łuskę, która drgała, jakby pod nią poruszały się tysiące maleńkich stworzeń. Obok nich, starszy mężczyzna o twarzy pozbawionej wyrazu, powoli gładził dłonią poręcz ławki, a jego palce zostawiały na drewnie śluzowate smugi, które natychmiast zasychały, tworząc czarne, błyszczące plamy.

Nabożeństwo dobiegło końca. Arcykapłan, chudy mężczyzna o nienaturalnie długiej szyi, która wyginała się jak szyja owada, wzniósł ręce nad zgromadzeniem. Jego dłonie były pokryte czarnymi, lśniącymi włoskami, które poruszały się niezależnie od jego woli.

"Niech Pan Much rozpostrze nad wami swoje skrzydła," zaintonował, a wierni odpowiedzieli jednym, gardłowym głosem: "I niech Rój wypełni nasze ciała, abyśmy stali się jednym w brzęczeniu."

Aldric zamarł. Pan Much? Rój? To nie były żadne modlitwy, które znał z dzieciństwa.

Wyszedł tylnymi drzwiami, zanim ktokolwiek mógł go zatrzymać. Ulica Główna była pusta. Sklepy pozamykane, okna zasłonięte ciężkimi, czarnymi zasłonami. Jedynie kawiarnia starego Corneliiusa miała uchylone drzwi, a z wnętrza dochodził jednostajny, miarowy brzęk, jakby tysiąc much uderzało o szybę.

Kiedy Aldric podszedł bliżej, ujrzał przez zakurzone okno coś, co zatrzymało mu oddech.

Właściciel kawiarni stał za ladą, ale jego głowa przechyliła się pod niemożliwym kątem, dotykając niemal własnego ramienia. Z jego otwartych ust, z oczodołów, z każdego pora skóry wylewały się czarne, lśniące strumienie. Muchy. Miliony much, które tworzyły wirującą kolumnę sięgającą sufitu, pulsującą w rytm jakiegoś niewidzialnego serca. Ściany pokrywał gęsty, ruchomy dywan złożony z ciał owadów, które splatały się w skomplikowane, zmieniające się wzory – heksagramy, spirale, symbole, których Aldric nie potrafił rozpoznać, a które jednocześnie budziły w nim pierwotny, zwierzęcy lęk. A w samym środku, w miejscu, gdzie powinno być serce mężczyzny, pulsowała czarna, gęsta masa – niby wrzód, niby gniazdo, niby żywy, oddychający organ, który kurczył się i rozkurczał w rytmie brzęczenia.

Aldric cofnął się o krok i nadepnął na coś miękkiego, wilgotnego.

Spojrzał w dół. Leżący na chodniku żebrak, którego widział wcześniej pod murem świątyni, teraz otworzył oczy – dwa czarne, pozbawione źrenic kręgi, w których odbijało się światło latarni, ale w odbiciu nie było miasta, tylko nieskończona, wirująca ciemność. Z jego gardła dobył się bulgotliwy, gardłowy dźwięk, który zdawał się pochodzić nie z ludzkich strun głosowych, ale z pęcherzyków pękającej mazi, z rozkładających się tkanek.

"Baal... Zebub..." wyjąkał, a z jego warg wypłynął rój maleńkich, czarnych muszek, które natychmiast pofrunęły w stronę latarni, tworząc wokół niej wirujący, brzęczący dysk.

Aldric pobiegł. Słyszał za sobą brzęk, który narastał, wypełniał całą ulicę, przenikał przez ściany domów, przez zamknięte okna. Grimhaven brzęczało jak jeden wielki, żywy organizm.

II. Oblicza Chaosu

Burmistrz Grimhaven, Thaddeus Grey, przyjął go w swoim gabinecie na piętrze ratusza. Był to człowiek o nalanej, ziemistej cerze twarzy, z oczami jak dwa rodzynki zatopione w cieście, ale jego uścisk dłoni był zimny i lepki, jakby zanurzył dłoń w rozgotowanym kleju. W gabinecie panował półmrok – jedyne światło pochodziło z lampy na biurku, która rzucała długie, wijące się cienie na ściany, gdzie wisiały obrazy, których Aldric nie potrafił w pełni objąć wzrokiem.

"Panie Winthrop," powiedział burmistrz głosem, który zdawał się pochodzić skądinąd – z sufitu, z podłogi, z szumiących w rurach centralnego ogrzewania, z każdego zakamarka pokoju, "rozumiem pańskie zaniepokojenie. Ale musi pan zrozumieć – my nie czcimy Pana Much. My z nim współistniejemy. To starszy, bardziej... pierwotny układ."

"Współistniejecie?" Aldric poczuł, że robi mu się słabo. Ściany gabinetu zdawały się falować, a obrazy na nich przedstawiały nieznane mu pejzaże – czarne oceany pod czerwonym niebem, miasta o niemożliwej geometrii, których korytarze zdawały się zapadać w siebie, lasy, których drzewa miały zbyt wiele oczu, zbyt wiele otwartych, krzyczących ust na pniach. "Widziałem człowieka, którego ciało było żywym ulem!"

Burmistrz uśmiechnął się. W kącikach jego ust pojawiły się dwie czarne kropki, które natychmiast zniknęły, jakby wciągnięte do środka przez tysiące maleńkich odnóży.

"To dar, panie Winthrop. Pan Much, czyli Baal-Zebub, ofiarowuje nam swoje dzieci. A dzieci... wypełniają nas. Dają nam życie wieczne, świadomość roju, jedność myśli. Oczywiście, są pewne... skutki uboczne." Machnął ręką w stronę okna, za którym widać było stare molo i czarne, spokojne morze. "Niektóre ciała nie wytrzymują transformacji. Pękają, rozpadają się, stają się pożywieniem. Ale my, starsi, bardziej doświadczeni... radzimy sobie. Jesteśmy lepszymi naczyniami."

Wstał i podszedł do witryny. W szybie odbijała się jego twarz – a jednak odbicie poruszało się o ułamek sekundy za nim. Odbicie uśmiechnęło się szerszym uśmiechem, znacznie szerszym niż ludzka twarz mogłaby się rozciągnąć, i zamrugało trzema rzędami powiek, z których każda była pokryta drobnymi, czarnymi włoskami, które poruszały się jak rzęski meduzy.

"Wie pan, dlaczego Grimhaven przetrwało?" ciągnął burmistrz, odwracając się. "Dlaczego ryby nigdy nie opuszczają naszych wód? Dlaczego burze omijają nasze wybrzeże?" Zrobił pauzę, wpatrując się w Aldrica z dziwną, pożądliwą ciekawością, która zdawała się sięgać głębiej niż spojrzenie człowieka. "Baal-Zebub nie jest złym bogiem. On jest po prostu... głodny. Wiecznie głodny. A my go karmimy. Ciałami tych, którzy nie pasują do wzorca. Tych, którzy są słabi, którzy się wahają, którzy wciąż mają w sobie za dużo człowieczeństwa. I w zamian... spójrz pan."

Z rozpiętej koszuli burmistrza wyłoniła się klatka piersiowa, która nie przypominała ludzkiej. Była czarna, błyszcząca, pokryta drobnymi, ruchomymi włoskami – ale to nie były włosy. To były czułki. Tysiące czułek, które poruszały się rytmicznie, falowały jak wodorosty na dnie oceanu, jakby badały powietrze, smakowały strach Aldrica, rozpoznawały każdą jego myśl, każde drgnięcie mięśni.

"Staję się częścią Roju," szepnął burmistrz, a z jego gardła dobiegł cichy, wibrujący dźwięk, który zdawał się rezonować w kościach Aldrica, wypełniać jego czaszkę, próbować zalać jego umysł obcym, owadzim myśleniem. "A Rój myśli jednym umysłem. Wie wszystko. Widzi wszystko. Nawet to, co robi pan w swoim pokoju w nocy, panie Winthrop. Nawet to, co pan czyta, gdy myśli pan, że nikt nie patrzy. Nawet to, co pan myśli, że pan ukrywa."

Aldric poczuł, że traci grunt pod nogami. Świat wirował, a ściany gabinetu zdawały się oddalać i przybliżać jednocześnie, jakby pokój oddychał, jakby był żywym, czującym organizmem, który wchłaniał go powoli.

"Pana pradziadek," dodał burmistrz, a w jego głosie pojawiła się nuta nostalgii, ale także ostrzeżenie, "to były dobre czasy. Ezekiel Winthrop pierwszy zrozumiał, że Lewiatan z Głębin i Pan Much to jedno i to samo. Dwaj bracia. Chaos lądu i chaos morza. Śpiewają w harmonii, która jest dla nas, śmiertelników, niepojęta, ale która jest prawdziwa, głębsza niż jakakolwiek nasza rzeczywistość. A my... my jesteśmy ich chórem. Ich głosami w tym wymiarze."

"Co się stało z moim pradziadkiem?" zapytał Aldric, choć bał się odpowiedzi.

Burmistrz uśmiechnął się. Tym razem uśmiech był inny – bardziej złowieszczy, bardziej... głodny.

"Jest wśród nas. Część Roju. Część większej całości. Słyszy pan ten brzęk? To on. To wszyscy, którzy byli przed nami. I wszyscy, którzy będą po nas. Nie ma śmierci. Jest tylko przemiana."

III. Woda ze Źródła

Tej nocy Aldric nie mógł zasnąć. Każdy dźwięk – skrzypienie podłogi, szum wiatru za oknem, odległy brzęk much – zdawał się być częścią jednego, wielkiego, złowrogiego koncertu. Z okna swojego pensjonatu widział światła latarni morskiej, która mrugała dziwnym, nieznanym mu dotąd kodem: długie, krótkie, długie – jak sygnał alarmowy, ale w odwrotnej kolejności, jakby czytany od tyłu. Potem zrozumiał. To nie był alarm. To było wezwanie.

Zszedł na dół. Ulice Grimhaven wypełniał głuchy, wszechobecny brzęk, który zdawał się przenikać przez mury, przez szyby, przez skórę, przez kości. Muchy nie latały – one płynęły, tworząc czarne rzeki wzdłuż krawężników, spływające do studzienek kanalizacyjnych, które bulgotały jak żywe, spragnione gardła. Powietrze było gęste od ich skrzydeł, a zapach – słodki, mdły, odrażający – wypełniał każdy oddech.

Dotarł na stare molo. Tam zastał zgromadzenie.

Wszyscy mieszkańcy Grimhaven stali w kręgu, twarzami do morza. W ich oczach nie było białek – same czernie, w których odbijały się gwiazdy, ale gwiazdy układały się w konstelacje, których nie znało żadne ludzkie obserwatorium, których geometria była niemożliwa, których wzory zdawały się zmieniać, gdy próbował je objąć wzrokiem. Ich ciała drgały, jakby tysiące owadów poruszało się pod skórą, próbując się wydostać na zewnątrz. A z ich ust, jednym, potężnym, gardłowym głosem, który zdawał się pochodzić z wnętrzności ziemi, płynęła litania:

"Lewiatanie, bracie Pana Much,
Otwórz głębie swojego gardła,
Przyjmij nas jako siew,
Jako plon, jako żniwo,
Bo w tobie wszyscy stajemy się jednym,
W brzęku, w ciszy, w wiecznym śnie."

Morze przed nimi zaczęło wrzeć. Woda nie falowała – ona się podnosiła, tworząc kopułę, która wybrzuszała się w górę, pękała, a z niej wyłaniała się góra – nie woda, ale cielsko. Olbrzymie, pokryte pancerzem, które lśniło w świetle gwiazd opalizującą czernią, która zdawała się wchłaniać światło, a nie je odbijać. Na pancerzu, niczym korale na rafie, rosły oczy. Tysiące oczu, każde wielkości okrętu podwodnego, każde patrzące w innym kierunku, każde otoczone rogowymi, chitynowymi powiekami, które otwierały się i zamykały z głuchym, wilgotnym dźwiękiem. I z każdego oka spoglądał ten sam chłód, ta sama obojętność wobec istnienia jednego, kruchego człowieka. To było oblicze istoty, która nie znała miłości, litości, współczucia – która znała tylko głód, tylko chaos, tylko wieczną, pierwotną furię chaosu, który istniał przed stworzeniem świata.

Z paszczy Lewiatana, która rozwarła się na szerokość całego portu, ukazując rzędy zębów, które były jak stalaktyty, jak żywe skały, wyleciał Rój.

Miliony much, czarnych, bzyczących, uderzyły w zgromadzonych. Aldric widział, jak starsza kobieta w pierwszym rzędzie otwiera usta, a muchy wlatują w nią strumieniami, aż jej skóra zaczyna pękać od wewnątrz, puchnąć, przekształcać się w coś nowego – w coś, co miało zbyt wiele stawów, zbyt wiele oczu, zbyt wiele głodnych otworów, które otwierały się i zamykały na jej ciele. Jej ludzkie oczy wypadły z oczodołów, a na ich miejsce pojawiły się dwa pęki czułek, które natychmiast zaczęły badać powietrze, trzepocząc z niesamowitą prędkością. Jej usta rozciągnęły się w uśmiechu, który był zbyt szeroki, zbyt znajomy, zbyt owadzi. A ona wciąż śpiewała, wciąż powtarzała litanię, jakby nic się nie stało, jakby jej ciało nie było już jej własnością.

"Teraz ty, panie Winthrop," usłyszał za sobą głos burmistrza, który zabrzęczał jak struna basowa, jak skrzypce nastrojone przez szaleńca.

Odwrócił się. Burmistrz stał za nim, ale już nie był człowiekiem. Z jego pleców wyrosły dwa przezroczyste skrzydła, które biły z taką częstotliwością, że wokół unosił się słup kurzu i pary, a powietrze wokół niego wirowało, tworząc małe tornada. Jego usta rozwarły się w bezgłośnym krzyku, a z gardzieli wysunęła się długa, czarna trąbka, która zakończona była ostrymi, chitynowymi kolcami, gotowymi do wbicia się w ciało Aldrica, do wyssania go, do przekształcenia go w kolejne naczynie dla Roju.

"Nie bój się," zabrzęczał burmistrz, a jego głos rozchodził się falami, które Aldric czuł na skórze, w żołądku, w mózgu. "To tylko przemiana. Zostaniesz jednym z nas. Będziesz widział oczami milionów, słyszał uszami tysiąca skrzydeł, czuł zapachy tysięcy zmysłów. To dar. To przywilej. To jedyna droga do wieczności."

Ale Aldric usłyszał w tym głosie coś jeszcze – coś, co burmistrz próbował ukryć, coś, co wyciekało spomiędzy słów jak ropa z pękniętego zbiornika. Strach. W głębi tego brzęczącego, triumfalnego głosu był strach. Thaddeus Grey nie był już panem swojego ciała. Był więźniem. Obserwatorem własnego rozkładu. Jego świadomość wciąż istniała, ale była uwięziona w ciele, które stało się gniazdem, w umyśle, który stał się częścią Roju, w duszy, która była powoli, systematycznie zjadana.

Aldric cofnął się nad sam brzeg molo. Pod nim, w czarnych, gotujących się wodach, widział swoje odbicie – ale w odbiciu jego twarz pokrywały się już pierwsze czarne łuski, a oczy zachodziły matową, mleczną bielą, jak u ryb żyjących w wiecznej ciemności, jak u tych, którzy już stracili nadzieję.

"Nie!" krzyknął i rzucił się w morze.

IV. Matka Ciemności

Obudził się w lesie. Nie pamiętał, jak tam dotarł. Leżał na mchu, który był miękki jak aksamit i ciepły, jakby miał własną temperaturę, jakby oddychał pod nim. Nad nim wznosiły się drzewa – olbrzymie, o pniach pokrytych dziwną, wełnistą korą, która w dotyku przypominała miękkie, żywe tkanki. Gałęzie splatały się w gęstą, nieprzeniknioną kopułę, przez którą nie przebijało się światło gwiazd ani księżyca. Panowała tu wieczna, zielonkawa poświata, która zdawała się pochodzić z samego podłoża, z mchu, z korzeni, z pni, z powietrza.

W ciszy lasu, głębszej niż jakakolwiek cisza, którą znał, nagle dobiegł go głos. Nie był to dźwięk, który słyszy się uszami – był to głos, który słyszy się wewnątrz, jak własną myśl, ale która nie jest własna, która pochodzi skądinąd, z miejsca, gdzie nie ma słów, tylko obrazy, tylko emocje, tylko czysty, pierwotny głód.

Wstań, synu Ezekiela.

Aldric poderwał się na nogi, rozglądając się dziko. Serce waliło mu jak oszalałe, a w płucach czuł coś obcego – ciężar, gęstość, jakby oddychał nie powietrzem, ale żywicą.

Przed nim, w świetle fosforyzującego mchu, stała kobieta. Była wysoka, smukła, o skórze białej jak kość słoniowa, która zdawała się świecić od wewnątrz zielonkawym, chorobliwym blaskiem. Jej włosy były czarne jak noc i spływały kaskadą aż do ziemi, a w nich, wplecione jak ozdoby, drgały drobne, świecące owady i błyszczały krople żywicy, która skapywała na mech, pozostawiając czarne, lśniące plamy. Jej oczy były głębokie, ciemne, bez białek, ale nie puste – pełne starożytnej mądrości i równie starożytnego, niepojętego głodu, który był inny niż głód Baal-Zebuba, ale równie przerażający.

"Kim jesteś?" wyszeptał Aldric, choć wiedział, że nie potrzebuje odpowiedzi.

Jestem Aszerą, zabrzmiał głos w jego umyśle, gładki jak jedwab, chłodny jak woda ze źródła, ale pod tą gładkością czuł coś twardego, coś, co przypominało korzenie wbijające się w skałę. Matką Lasu. Kosmiczną Płodnością. Twoi przodkowie czcili mnie, zanim przyszli kapłani Much. Zanim Baal-Zebub skusił ich obietnicą jedności, która jest w istocie zniewoleniem, zapomnieniem, rozkładem. On oferuje śmierć w życiu. Ja oferuję życie w śmierci.

Rozejrzał się wokół. W cieniach między drzewami dostrzegał poruszające się, bezkształtne masy. Były ogromne, oślizgłe, pokryte mackami, które zakończone były pąkami kwiatów, które otwierały się i zamykały, ukazując rzędy ostrych, chitynowych zębów. Były to twory, które nie miały stałego kształtu – pulsowały, rosły, kurczyły się, przybierały formy roślin, zwierząt, a czasem przerażająco ludzkich sylwetek, ale nigdy nie były do końca niczym z tych rzeczy. Ich cielska falowały,

zmieniały kolor, wydawały dźwięki – od cichego szelestu po głuche, rytmiczne uderzenia, które przypominały bicie serca.

"Twoje dzieci?" zapytał Aldric, czując, jak skóra na jego rękach pokrywa się gęsią skórką, a pod nią coś porusza się – coś, co nie było mięśniami, ale korzeniami, które rosły w nim, powoli, niepostrzeżenie.

Moje sługi. Moja biomasa. Moje narzędzia, odpowiedziała Aszera, a w jej głosie pojawiła się nuta macierzyńskiej dumy, ale pod nią krył się chłód, który nie znał uczuć. Baal-Zebub oferuje rozkład, jedność w brzęczeniu, zanik indywidualności. Ja oferuję wzrost, ewolucję, życie w każdej formie, która może istnieć. Konkurujemy, my, dawni bogowie. A wasze miasto jest polem bitwy. Wasze dusze są nagrodą.

"Wybierz mnie," szepnął Aldric, czując, jak słowa same wypływają mu z ust, jakby nie należały do niego, jakby pochodziły z głębszego, starszego miejsca w jego umyśle.

Nie wybieram, odparła Aszera, a jej usta wykrzywił uśmiech, który był zbyt szeroki, zbyt znajomy, zbyt podobny do uśmiechu burmistrza. Obserwuję. I czekam, aż sam wybierzesz. Ale pamiętaj – jej słowa nagle stały się zimne jak lód, a las wokół nich zakołysał się, jakby wstrząśnięty podziemnym dreszczem, jakby cały ten żywy organizm reagował na jej gniew – wybierając mnie, wypowiedziałeś wojnę Panu Much. Czy jesteś gotów płacić cenę za swoją indywidualność? Czy jesteś gotów stać się tym, czego potrzebuję?

"Tak," odparł, choć nie wiedział, co tak naprawdę obiecuje. W jego umyśle pojawił się obraz – jego własne ciało, ale przekształcone, z korzeniami zamiast żył, z liśćmi zamiast włosów, z oczami, które widziały nie to, co przed nimi, ale to, co wewnątrz, co było w ciemności.

Aszera skinęła głową, a jej włosy zafalowały, jakby poruszał je wiatr, którego nie było, jakby żyły własnym życiem. Jeden z bezkształtnych tworów wypełznął z cienia – ogromna, galaretowata masa, która poruszała się jak ślimak, zostawiając za sobą śluzowatą, świecącą smugę, która natychmiast zaczęła parować, wydzielając słodki, odurzający zapach. Podpełzła do stóp Aldrica, a on zobaczył w jej wnętrzu coś, co przypominało ludzką twarz – zniekształconą, rozciągniętą, ale wciąż ludzką. To była twarz jego pradziadka, Ezekiela Winthropa.

"Co to?" zapytał, cofając się, czując, jak jego serce zamiera.

Twoja przyszłość, odparła Aszera, a w jej głosie zabrzmiała nuta czegoś, co mogło być groźbą lub obietnicą – ale było przede wszystkim głodem, który nie znał granic. Jeśli przetrwasz. Ezekiel wybrał mnie przed laty. I jest ze mną do dziś. Jest częścią lasu, częścią mnie. Jego świadomość

wciąż istnieje, ale jest uwięziona w tej formie, w tym ciele, które nie jest już ciałem. Obserwuje. Słyszy. Cierpi. Ale służy. I ty będziesz służyć.

Bezkształtne ciało zaczęło się przekształcać. Wyrastały z niego gałęzie, liście, kwiaty o dziwnych, pulsujących kolorach, które zmieniały się od czerwieni do czerni, od zieleni do fioletu. Aldric patrzył, jak z bezładnej masy biomasy wyłania się kształt – nie człowiek, nie drzewo, ale coś pośredniego. Coś, co miało dwa ramiona, dwie nogi, ale skóra była korą, a żyłami płynął sok, a w oczach świeciło to samo zielone światło, które biło z mchu. W jego ustach, które były szczeliną w korze, pojawił się dźwięk – cichy, bulgotliwy, pełen cierpienia.

"Aldric..." wyszeptał głos, który był głosem Ezekiela, ale zniekształconym, jakby dobiegał z głębokiej studni. "Uciekaj... ona... nie jest... lepsza..."

Aszera uniosła rękę, a twór zamarł, jego usta zamknęły się, a oczy zaszły mleczną bielą.

Zapomnij o tym, co powiedział, odparła, a jej głos był teraz twardszy, ostrzejszy. Ezekiel wciąż się buntuje. Ale nauczy się. Jak ty się nauczysz. Idź do miasta. Powiedz im, że Matka Lasu wróciła. Że Gaj czeka na swoich. I że Pan Much nie jest jedynym wyborem. Ale pamiętaj – każdy wybór ma cenę. A moja cena jest wysoka.

V. Dwa Oblicza Zła

Następnego dnia Aldric powrócił do Grimhaven. Ale nie był już tym samym człowiekiem. W jego żyłach płynęła nie tylko krew – była w nim również esencja lasu, esencja Aszery. Czuł korzenie, które wyrastały mu pod skórą, czuł, jak jego płuca wypełniają się nie powietrzem, ale jakimś gęstszym, żywicznym oddechem. Czuł w sobie głód, który nie był jego głodem, ale głodem Matki Lasu.

Gdy wszedł na główny plac, zobaczył, że miasto podzieliło się na dwa obozy. Po jednej stronie stali wyznawcy Baal-Zebuba, ich ciała drgały w rytm roju, ich oczy były czarne i puste, ich usta poruszały się w bezgłośnej litanii. Po drugiej stronie – ci, którzy usłyszeli wołanie Aszery. Ich skóra zaczynała przybierać odcienie zieleni i brązu, z ich palców wyrastały cienkie, giętkie pędy, a z ich ust wydobywały się dźwięki przypominające szum liści, ale było w nich coś więcej – cierpienie, rozpacz, świadomość, że wybrali, ale nie wiedzieli, co wybierają.

Aldric widział ich twarze. Były to twarze ludzi, których spotkał w mieście – rybaków, sprzedawców, matek, dzieci. Ale były też zniekształcone, zmienione, jakby coś rosło pod ich skórą, próbując wydostać się na zewnątrz. Widział w ich oczach strach, który mieszał się z ekstazą, z

oddaniem, z desperacją. Widział, jak ich ciała zmieniają się na jego oczach – jak ręce stają się gałęziami, jak palce zlewają się w jedno, jak usta rozszerzają się, by przyjąć więcej, więcej, więcej.

Burmistrz Thaddeus Grey stanął między nimi. Był teraz w połowie człowiekiem, w połowie rojem – jego ciało pokrywała czarna, lśniąca zbroja z much, która poruszała się, falowała, tworzyła skrzydła, które biły z ogłuszającym brzękiem. Jego twarz była maską – nieruchomą, woskową, ale pod nią Aldric widział ruch, widział tysiące owadów, które pełzały pod skórą, które próbowały się wydostać, które karmiły się jego ciałem.

"Zdrajco!" wrzasnął burmistrz, a jego głos rozszedł się echem, powielany przez miliony owadzich gardeł, przez miliony drgających skrzydeł. "Sprzedałeś się Córce Lasu!"

Aldric poczuł, jak w jego piersi budzi się coś nowego. To nie był gniew – to był wzrost. Czuł, jak jego kręgosłup prostuje się, jak z jego ramion wyrastają gałęzie, a z palców – długie, giętkie macki, które natychmiast zaczęły krążyć w powietrzu, szukając ofiary. Czuł, jak coś rośnie w nim, coś, co nie było nim, coś, co było częścią Aszery, częścią lasu, częścią czegoś starszego i bardziej przerażającego niż wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

"Nie sprzedałem się," odparł, a jego głos był głębszy, bardziej rezonujący, jakby pochodził nie z jego gardła, ale z pnia drzewa. "Wybrałem. Wybrałem życie, które rośnie, a nie życie, które gniłoby w jedności. Wybrałem indywidualność, a nie zanik w brzęczeniu."

Ale nawet gdy to mówił, czuł, jak kłamstwo wypływa z jego ust. Nie wybrał indywidualności. Wybrał inną formę niewoli. Wybrał panią, która była równie głodna, równie okrutna, równie obojętna na ludzkie cierpienie.

I wtedy z lasu za miastem wylała się fala. Bezkształtne twory Aszery – Pnącza, które nazywał w myślach, chociaż nie były to ani rośliny, ani zwierzęta – proteaniczne, pulsujące, nieustannie zmieniające kształt, napłynęły na plac. Zderzyły się z rojem. To była wojna, której żaden człowiek nie mógłby opisać – ciało walczyło z owadami, gałęzie z czułkami, chitynowe szczypce z maczugami z żywej, pulsującej tkanki, która krzyczała, gdy była rozrywana.

Aldric znalazł się w samym centrum. W jednej ręce trzymał gałąź, która była jednocześnie częścią niego, a z jej końca wystrzeliwały ostre, jak igły, kolce. Drugą ręką, już prawie nieludzką, chwytał muchy, zgniatał je, a ich czarne, lśniące szczątki rozpływały się w jego dłoni, wchłaniane przez skórę, która stawała się coraz bardziej roślinna, coraz bardziej obca.

Widział twarze ludzi, którzy ginęli wokół niego. Widział matkę, która trzymała swoje dziecko, a z jej ramion wyrastały korzenie, które wbijały się w ciało dziecka, przekształcając je w coś nowego, w coś, co nie było już dzieckiem. Widział starca, który stał nieruchomo, a z jego ust wylewały się

muchy, które pożerały jego ciało od wewnątrz, zostawiając tylko pustą skorupę, która wciąż stała, wciąż brzęczała. Widział swojego pradziadka, Ezekiela, który wciąż był uwięziony w ciele Pnącza, które walczyło po stronie Aszery, ale w jego oczach wciąż była iskra człowieczeństwa, wciąż był ból, wciąż była świadomość tego, czym się stał.

Burmistrz rzucił się na niego, jego ciało przekształciło się w chmurę much, które otoczyły Aldrica ze wszystkich stron. Brzęk był ogłuszający, przenikający do mózgu, próbujący zalać jego umysł obcym, owadzim myśleniem. Aldric widział w tym brzęku obrazy – miliony oczu patrzących z ciemności, miliony głodnych ust, które chciały go pożreć, które chciały go wchłonąć, które chciały uczynić go częścią siebie.

Ale Aldric zamknął oczy i sięgnął w głąb siebie. Tam, gdzie rosło nowe, zielone życie, które Aszera w nim zasadziła. I odpowiedział.

Z jego ciała wystrzeliły korzenie – białe, grube, wijące się jak węże, pokryte kolcami, które wbijały się w chmurę much, rozrywając ją na strzępy. Znalazły ciało burmistrza, które próbowało uciec, i owinęły się wokół niego, ściskając coraz mocniej, aż usłyszał trzask pękających kości. Usłyszał krzyk burmistrza – nie triumfalny, nie owadzi, ale ludzki, pełen bólu, pełen strachu, pełen świadomości, że jego ciało pęka, że jego dusza ucieka, że został porzucony przez Pana, któremu służył.

"Powiedz Panu Much," wyszeptał Aldric, a z jego ust wydobył się zielonkawy, fosforyzujący pył, który uniósł się w powietrze, tworząc świetlistą chmurę, "że Las ma nowego kapłana."

Burmistrz spojrzał na niego ostatnim, ludzkim spojrzeniem. W jego oczach była prośba. Nie o litość, ale o koniec. O uwolnienie.

Aldric zamknął oczy. I ścisnął mocniej.

VI. Nowy Porządek

Grimhaven nie zostało zniszczone. Zostało przekształcone. Na ruinach Świątyni Wiecznego Brzęku wyrosły drzewa, których pnie pokryte były dziwnymi, świecącymi pąkami, które otwierały się w nocy, ukazując wnętrza pełne oczu, które patrzyły w ciemność. Muchy wciąż brzęczały, ale teraz były podporządkowane – żyły w symbiozie z roślinami, ich czarne ciała zapylały kwiaty, które wyrastały na skrzyżowaniach, na dachach, w oknach. Kwiaty te miały zapach słodki, mdlący, który przyciągał owady, ale także ludzi, którzy powoli, niepostrzeżenie, stawali się częścią nowego porządku.

Aldric Winthrop został nowym burmistrzem. Ale nie nazywał siebie już człowiekiem.
Był Strażnikiem Granicy – między lasem a morzem, między Aszerą a Lewiatanem, między jednym złem a drugim.

W swoim gabinecie, w miejscu, gdzie niegdyś wisiały obrazy kosmicznych krajobrazów, teraz stał ołtarz. Na nim leżały dwa przedmioty: kawałek czarnej, lśniącej chityny po Baal-Zebubie i gałąź z lasu Aszery. Symbol równowagi. Symbol wojny, która nigdy się nie skończy, ale która może być kontrolowana. Symbol wyboru, który nie był wyborem.

Widział codziennie twarze ludzi, którzy przychodzili do niego z prośbami. "Jak mam wybrać?" pytali. "Który bóg jest lepszy?" A on patrzył na nich i wiedział, że nie ma dobrej odpowiedzi. Baal-Zebub oferował zapomnienie, jedność w roju, zanik indywidualności. Aszera oferowała wzrost, ewolucję, ale także przekształcenie, utratę człowieczeństwa, stawanie się częścią lasu, który był równie głodny, równie okrutny.

I za każdym razem, gdy ktoś wybierał, Aldric widział, jak jego twarz zmienia się – jak w oczach pojawia się strach, jak na skórze pojawiają się pierwsze łuski lub pierwsze pąki, jak jego ciało zaczyna się przekształcać w coś, co nie jest już ludzkie. Widział ich cierpienie, ich rozpacz, ich świadomość, że wybrali, ale nie wiedzieli, co wybierają. I wiedział, że to on jest winien. To on otworzył drzwi, które powinny pozostać zamknięte.

Pewnej nocy, gdy księżyc wisiał nad Grimhaven jak srebrna moneta, która nie dawała światła, Aldric poczuł, że Aszera wzywa go do siebie. Zszedł do lasu, a tam, w głębi, zobaczył, że jej dzieci – Pnącza – tworzą przed nim procesję. Ich cielska falowały, zmieniały kształt, a w ich wnętrzu migotały światełka jak gwiazdy, które nie istniały na niebie. Wśród nich zobaczył twarze – twarze ludzi, których znał, których przekonał do wyboru, których skazał na tę wieczną, koszmarną egzystencję.

Dobrze, mój synu, usłyszał jej głos w swojej głowie, teraz jeszcze silniejszy, bardziej obecny, bardziej przenikliwy. Utrzymujesz równowagę. Ale pamiętaj – jestem głodna. Jako twoja bogini, jako twoja matka, potrzebuję pożywienia. Jesteś moim kapłanem. Twoim obowiązkiem jest dostarczać mi dusz.

Aldric skinął głową. Wiedział, co musi zrobić. W Grimhaven wciąż byli tacy, którzy nie przyjęli daru Aszery – którzy woleli brzęk roju, którzy tęsknili za jednością, nawet jeśli ta jedność oznaczała zanik jaźni, nawet jeśli oznaczała stanie się częścią czegoś, co nie było życiem, ale wegetacją.

Prowadził ich do lasu, każdej nocy. A Pnącza przyjmowały ich z otwartymi, bezkształtnymi ramionami, wchłaniając ich ciała, przekształcając ich w nowe formy życia, które rosły, pulsowały, czekały. Słyszał ich krzyki, które powoli zamieniały się w szum liści, w brzęk owadów, w ciszę, która była gorsza niż jakikolwiek dźwięk.

I w głębi, w ciemności, która była poza morzem i poza lasem, Lewiatan otworzył jedno oko. I uśmiechnął się. Wojna nie skończyła się – ona tylko zmieniła kształt. I trwać będzie, dopóki istnieją ci, którzy chcą wybierać między chaosem lądu a chaosem morza, między jednym złem a drugim.

Aldric zamknął drzwi swojego gabinetu. Na biurku leżał dziennik jego pradziadka, Ezekiela, który teraz mógł przeczytać w całości. Ostatnia strona zawierała słowa, które były ostrzeżeniem, ale też wyznaniem:

"Wielcy są ci, którzy przyszli przed nami. Baal-Zebub, Pan Much, i Aszera, Córka Lasu, i Lewiatan z Głębin – to tylko trzy oblicza jednego, większego chaosu. Chaosu, który istniał przed stworzeniem i będzie istniał po nim. My, ludzie, jesteśmy tylko drobinkami w ich tańcu. Możemy wybierać, komu służymy. Ale każdy wybór prowadzi do tego samego końca – do utraty tego, co czyni nas ludźmi. Do ciemności, która jest wieczna, która jest głodna, która nigdy nie będzie nasycona."

Aldric zamknął dziennik. Spojrzał w okno, gdzie światła latarni morskiej mrugały kodem: długie, krótkie, długie. Wezwanie.

Ale teraz on był tym, który wzywał.

I odpowiedziały mu dwa głosy: brzęk roju, który chciał go wchłonąć, i szum lasu, który chciał go przekształcić.

A on, strażnik granicy, kapłan dwóch bogów, stał pośrodku, wiedząc, że nie ma wyjścia, nie ma nadziei, nie ma końca. Jest tylko służba. I głód. I wieczna, kosmiczna ciemność, która czeka na każdą duszę, która się zbłąka.

Wokół niego Grimhaven spało. Ale nie był to sen. To była przemiana. I trwała wiecznie.